

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 26 LIPCA 1930 ROKU

NR. 30

ANDRZEJ STRUG

23)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Rozglądam się, panie profesorze! I doprawdy jestem zanadto wzruszony, żeby wydać jakiś sąd o tem, co widzę. Ale nie czuję żadnej obcości, odezwała się we mnie stara krew niemiecka.

— Zastaje nas pan w czwartym roku najcięższych zapasów, jakie znała historja. Wiele stron życia zniszczyła wojna, wszystko u nas jest nienormalne. Ale tembardziej świetnie objawia się teraz wielki duch niemiecki w kolosalnym wysiłku, który pozwala nam stawić czoło — co tu ukrywać — przeciwko całemu światu. To jest wspaniałe! Tragiczne! I jeżeli Bóg da...

Profesor zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w swego nowego pracownika. Oddawna zabiegał o przydzielenie mu dwóch znanych sobie młodych chemików, dawnych uczniów, ale jeden zginął na froncie, jako oficer gazowy, drugi zaś „nie był rozporządzalny”. Za to z wielkim zachwalaniem nasyłają mu anonima, jakiegoś amerykańskiego Niemca, który niewiadomo co umie i co może. Dyplomy, prace naukowe — cóż to jest w istocie rzeczy? Czy jest twórczy? Czy umie myśleć, szukać? Tego niepodobna się nauczyć. Podobał mu się, wzbudzał sympatję, w oczach zaduma, jakiś smutek — wyglądał raczej na poetę. Mówił ciekawie o Ameryce, mądrze. Gdy po tym wstępie przeszli do rzeczy, profesor po półgodzinie rozmowy uspokoił się — miał do czynienia z rzetelnym uczonym. Doktor Helm miał w sobie pasję dociekania, poryw i odwagę w swoich hipotezach, był dostatecznie młody, a zarazem bardzo dojrzały.

— Za jedno z najważniejszych zadań moich uważałem dać komu należy prawdziwe informacje o przygotowaniach chemicznych Ameryki. Pracowałem w doświadczalni amerykańskiej w Puteaux pod Paryżem... Znam organizację kolosalnego arsenału chemicznego w Egdeewood, który powstał w ciągu paru miesięcy i teraz dochodzi do ładowania dwustu tysięcy pocisków dziennie.

— Pan powiedział — dziennie?

— Tak, dziennie.

— Dwieście tysięcy pocisków?!

— Tak jest, panie profesorze. Egdeewood jest największą na kuli ziemskiej wytwórnią chloru. Niebawem straszliwa lawina zwali się na nasz front, jeżeli nie zaskoczymy nieprzyjaciela jakąś niespodzianką. To jedno może nas uratować. W Berlinie słyszałem, iż Niemcy oczekują tego od pana profesora i doprawdy oceniam cały zaszczyt, który mnie spotkał...

Tego było zanadto. Profesor zerwał się wzburzony. Gość zamilkł.

— Pan mówi, że odemnie oczekują... Niech cze-

kają! Aż stary Wager przyniesie im cud w małej probówce. Ten cud w probówce nasz as wyrzuci nad Francją z wysokości pięciu tysięcy metrów i koniec z nieprzyjacielem, z jego armjami, z jego stolicami...

Dr. Helm słuchał, uśmiechając się dyskretnie. Profesor pohamował się i zaczął wyrzekać spokojniej. Na biurokrację wojskową, na martwą rutynę wszelkich organizacji przemysłu chemicznego, na skąpstwo skarbu, który mu odmawia paru nędznych milionów na nowe instalacje...

— Choćbym miał w ręku ów cud, trzeba czasu i środków na rozwinięcie produkcji masowej, na wyszkolenie oficerów i żołnierzy, na zaopatrzenie frontu... Czas, czas, panie doktorze... Czas nas zabija. Nie obawiam się tyle pańskiego fenomenalnego Egdeewood, ile naszej niemieckiej biurokracji. A wojnę musimy kończyć szybko — do nowej zimy. Następnej nie znieśie ani żołnierz, ani ludność... A tamci zniosą, bo przede wszystkim mają co jeść.

— Co do Anglii, to w listopadzie i w grudniu poprzez surową cenzurę wojenną przedostały się tak alarmujące głosy...

— Według mojego przekonania, to był nasz punkt kulminacyjny. Odtąd więcej naszych łodzi podwodnych ginie niż zdołamy wybudować nowych. Straciliśmy najlepszy czas na dyplomatyżowanie z Ameryką... Zbawić nas może tylko broń chemiczna — pomimo całej pańskiej Egdeewood Niemcy panują w chemji. A od wynalazku prochu nie znamy niczego, co mogłoby dokonać tak głębokiego przewrotu w warunkach wojny, jak broń chemiczna. Pracujemy, pracujemy, panie Helm, ale psychika Niemca jest przy ciężka, przywiązuje się zanadto do tego, co już dokonał, za długo się namyśla nad każdą nowością... Po tamtej stronie jeszcze błąkają się w metodach, nie mogą sobie poradzić z nami. Ręczę, że dotychczas nie zidentyfikowano jeszcze nawet naszego Żółtego Krzyża?

— Zdaje się, że nie.

— A cóż dopiero produkcja masowa! Ile im to czasu zabierze? Ile popełnią błędów?

— I oni podziwiają naszą potęgę, ale pozwolę sobie zaznaczyć, że podążają za nami, podążają olbrzymimi krokami. Najmłodsza, zeszłoroczna centrala badań w Ameryce zatrudnia tysiąc dwustu chemików i techników i siedemset sił pomocniczych. Jednocześnie podlega badaniu cztery tysiące substancji...

— To imponujące, zanadto amerykańskie — za dużo chemików i za dużo substancji!... Zabłąkają się. My trzymamy się jednego, ale prowadzimy rzecz do

najdalszych i najgłębszych konsekwencji. Zato obawiam się, że pańscy amerykanie zaskoczą nas jakąś nieprzewidzianą metodą w stosowaniu substancji znanych. Anglosas czasami miewa jakiś genialny zwrot w myśleniu, do czego my nie jesteśmy zdolni. Naprzykład — na pół roku przed wojną kontrwywiad angielski wykrył całą sieć naszego szpiegostwa. U nas zamknięto by ich wszystkich odrazu i nieprzyjaciel musiałby odtwarzać wszystko na nowo. Anglicy nie ruszyli nikogo. Dopiero w dniu wypowiedzenia wojny wyłapano wszystkich i Niemcy zostały bez żadnego wywiadu, bo przyzna pan, że podczas wojny niepodobna już było tego odrobić. Tam się nie śpieszą — tam rozważają. My nie możemy wytrzymać i wyrrywamy się jak zapalony młodzieniaszek. Nie stworzyliśmy strategii gazów, dla przelotnych efektów, których nie umieliśmy nawet wyzyskać, ujawniliśmy przedwcześnie naszą broń. Trzeba było wytrzymać z rok, ulepszyć metody, nagromadzić ogrom materiału i dopiero w jednym genialnym natarciu zaskoczyć i zmiażdżyć bezbronny przeciwnik i odrazu zakończyć wojnę. Ale na wiosnę roku piętnastego napróżno i daremnie alarmował Główną Kwaterę pewien człowiek przewidujący. Na miłość boską, nie zaczynać! Przyczać się, pracować, szukać, produkować i za rok — uderzyć na nieprzyjaciela. Efekt majowy pod Ypres pięć tysięcy trupów! A za rok później ległyby pokotem miliony, nie ostałoby się nic przed naszym pociskami gazowymi... Nie usłuchano tego szalonego człowieka — bo był to manjak, niejaki profesor Wager...

Profesor gadał, wyrzekał, wypominał swoje krzywdy, to znów wracając do metod badawczych, odślaniał cały swój genjusz i wiedzę imponującą. Minęła godzina, doktor Helm słuchał z całym napięciem i dopiero zaczynał rozumieć, jak ogromnego podjął się zadania. Przerazał jego obszar, jego znaczenie dla przebiegu wojny. Tu tała się decyzja kolosalnego zmagania się narodów, tu było zwycięstwo albo klęska. Mimo pesymizmu i rozgoryczenia wielkiego uczonego, w jego słowach odślaniała się potęga Niemiec i przerażała jakaś ich tajemnica, która wisiała nad światem. Doktor Helm słuchał, zapatrzony w oblicze wielkiego czarodzieja wojny, który zdawał się trzymać w swem ręku losy narodów. Ten człowiek miał swój straszliwy plan i pomimo przeszkód i zwłoki wykona go prędzej czy później. Posiada on w tajnikach mózgu jakowyś niezmiernie złożony, a może zdumiewająco prosty znak chemiczny, do którego doszedł pracą całych lat, który jak symbol fatalizmu niesie w sobie zatracenie ludzkości.

I ponad całą grozą zagadnienia w umyśle doktora Helma przeważała ciekawość badacza. Zrodził się zapal do walki o tajemnicę. Odtracony przemocą od ukochanej pracy wyrzekł się jej był i zapomniał już czem był kiedyś. Teraz, gdy profesor wydobył ołówek, pochylał się nad papierem z namiętnością manjaka i śledził za zadaniem, które mu wyznaczono na początek. Szeregi formuł opętywały go, wprowadzały go na nowo w dawny świat, przywracały mu utracone człowieczeństwo. Na chwilę zapomniał gdzie był i pogo. Odezwała się w nim radość istnienia, zamordowana zda się na zawsze. Obudził się z letargu, który trwał przez całe lata i ujrzał nagle, że świat jest zawsze młodzieńczo uroczy.

Podążał za ołówkiem profesora, który mimowolnie przechodził do szeptu, jak gdyby powierzał komuś rzecz najtajemniejszą. Stare zmęczone oczy co chwila odrywały się od kartki papieru i zachęcały, kusiły. Te spojrzenia, to szeptanie wciągały doktora w jakiś spisek, w konspirację, w jakąś wielką zbrod-

nię. Nad tem samem zagadnieniem pracowali w wielu miejscach ludzie zaufani w ścisłej tajemnicy, nie wiedząc o sobie nawzajem. W Hoechst, w Biebrich, w Leverkusen, w Merseburgu, w nadreńskich laboratorjach i w Kaiser Wilhelm Institut w Berlinie. Rozsiani po całym kraju, nie znając się nawet z imienia, tworzą bractwo tajne. W odmęcie splątanych, ukrytych sił przyrody szukają zbawienia dla ginącej ojczyzny. Kto z nich pierwszy wpadnie na trop? Kto po tysiącu zabiegów, błędów i prób sprawdzi nareszcie genialną hipotezę mistrza? Z którego końca niemieckiej ojczyzny nadejdzie wieść szczęśliwa? Komu przypadnie sława?

Doktor Helm z najwyższem napięciem podążał za myślami mistrza. Zagadnienie bowiem było porywające, ale z dziedziny mu obcej i nieznannej, do czego po pewnem wahaniu uważał za stosowne się przyznać.

— Tem lepiej — zauważył profesor i ciągnął dalej.

Wierzył on w natchnienie i intuicję badacza w dziedzinie chemji, która jest niemniej wspaniałą sztuką jak poezja. Dawał rady. Zapamiętać się w pracy, zapomnieć o świecie, zamknąć się jak mnich. Pograć się w zadaniu, jak fakir w swej wyłącznej kontemplacji tajemnic bóstwa, udręczyć się, wpaść w obłąkaną manję. A gdy mózg przemęczony do ostatecznego wyczerpania odmówi posłuszeństwa, gdy z prób, usiłowań, zgadywań wytworzy się chaos i zamęt — oderwać się pewnego dnia od pracy i zapomnieć o niej. Odpocząć. Nie myśleć. Spać, czytać najgłębsze powieści, pić piwo, gadać z ludźmi o niczem. Oszukać samego siebie, wyrzec się całego zamiaru. Nic nie robić i na nic nie czekać. Sam przyjdzie dzień, gdy błysnie światło, musi przyjść, i wówczas na nowo jąć się pracy. Znowu jeszcze o krok zbliży się badacz do swojego celu, albowiem mędrze i mocniejsze jest w człowieku to, co się samo dokonywa, niż cała jego wola i wiedza. Trzeba pozwolić siłom podświadomym mieć swój udział w pracy twórczej, zawiedzie się ten, kto liczy tylko na rozum i wysiłek woli.

Doktor Helm był jak w upojeniu. W myśli już rozwiązywał zadanie, dumał teoretycznie i na niewidzialnej tablicy rozstawiał i segregował swoje cyfry i znaki. Wpadł w zapamiętanie, zapomniał o samym celu tego wszystkiego. Aż spostrzegł, że coś go odrywa i coś go jakby usypia. Jakaś zasłona odgradza go od rzeczy, do której jeszcze przed chwilą należały wszystkie jego myśli. Dopiero zauważył, że profesor zamilkł i w zadumie patrzy kędyś w dal niewidzialną. Przez długą minutę siedzieli w ciszy, obaj zasłuchani.

Zgłuszone, przyciszone ale wyraźne dźwięki spływały na nich od góry. Ktoś grał tam na pietrze i z przemocą, chwytającą za serce, nakazywał słuchać. Stwarzało się przywidzenie, że niema na świecie nic ważniejszego od tych nikłych dźwięków, że odeszło od człowieka i rozpodziało się wszystko i zostały tylko one. Urok tej muzyki obezwładniał, powtarzały się pewne akordy niewysłowionej głębi, dobrane z jakichś nigdy niesłyszanych tonów. Nie odrazu odgadł, że to odzywa się fortepian, melodia przewijała się wśród akordów, dając kolejno głos coraz to innym nieznanym instrumentom. Doktor Helm od dawien dawna zapomniał był o muzyce i o samem jej istnieniu, tak dziko ułożyły się ostatnie lata jego życia. Teraz uderzył go jej czar i zatargał aż do bólu. Była chwila, że nie mógł już dłużej znieść tej potęgi napięcia, zapragnął, żeby to ustało odrazu, natychmiast. I muzyka zamilkła.

(D. c. n.).

M A Y E R L I N G

12)

Rudolf zadrżał. Wizja była zbyt wyraźna.

— Niemożliwe! — zawołał.

Dźwięk własnego głosu przeraził go Wyprostował się i otworzył oczy.

Jan Salvator oparty o stół, z głową ukrytą w dłoniach, nie poruszał się wcale. Rudolf wstał, podszedł do niego, zawahał się przez chwilę, następnie położył miękko dłoń na ramieniu swojego kuzyna. Jan Salvator spojrział na niego i Rudolf zobaczył że ma oczy pełne łez.

Z trudem zapanował następcą tronu, nad swoim wzruszeniem i odezwał się niepewnym głosem:

— Masz rację Gianni. Nie jestem wart niczego.

I dodał tak cicho, że Jan Salvator usłyszał za ledwie:

— Wybacz mi.

Objął kuzyna serdecznym uściskiem.

— Jeżeli jest tak, to odejdę — Gianni. — Zwalniasz mnie.

— Tak będzie lepiej — rzekł Rudolf. — Zadzroszczę ci...

Po minucie był już na ulicy. Odnalazł pojazd, który go przywiózł.

— Do Sachera! — rzucił woźnicy — i to galopem.

IV.

PAŹDZIERNIKOWE EFEMERYDY.

U Sachera.

Szybkiem krokiem przebiegł przez korytarz, prowadzący do gabinetów u Sachera. Maitre d'hotel zdążył zaledwie usunąć mu się z drogi. Otworzyły się drzwi. Owionęła go atmosfera, w której mieszały się zapach perfum, kwiatów, kobiet i wina. Ucztujący, siedzący na kanapie, wstali by go przywitać.

— Czekaliśmy na Waszą Wysokość — zabrzmiał wesoły głos hrabiego Hoyosa — i nie zasiedliśmy do stołu. Wasza Wysokość zna te piękne panie.

Dodał wskazując dwie śliczne dziewczyny.

— A oto Marynka.

Wskazał wątłą kobietę, o smagłej cerze, podługnych brwiach, kruczonych, błyszczących oczach, przylepionych do małej kształtnej główki. Młoda Marynka stała na uboczu.

— Pochodzi z południa Rosji — ciągnął Hoyos — lecz bawiła jakiś czas na Bukowinie i włada, wcale dobrze niemieckim.

Rudolf spojrział na cygankę. Wydała mu się niepozorna. Uśmiechnął się do niej po przyjacielsku, podał rękę mężczyźnie w sile wieku o twarzy spalonej słońcem i wiatrem, z siwiejącymi włosami na skroniach. Był to kuzyn i towarzysz zabaw i polowań, ksiądz Filip Koburski.

— A teraz, moi przyjaciele, zasiądźmy do wieczerzy — rzekł Rudolf — najwyższy czas zabrać się do poważnej pracy. Hoyos podaj mi wódkę, wypijemy ją na zdrowie Marynki.

Późno w nocy, zaczęła śpiewać cyganka.

Na jej żądanie zgaszono większość świec rzucających mocne blaski. Do gabinetu wszedł mężczyzna o migdałowych oczach, w obcisłej bluzie; miał z sobą gitarę. Wsparta o mur, z głową odchylną w tył, spojrzeniem biegnącym przed siebie, w nieokreśloną dal,

wydawała się nieobecna. Pełnia jej głosu zdumiewała. Miała sposób śpiewania, który czynił wzruszającymi i nowymi, najbanalniejsze i najstarsze piosenki. Uderzał głęboki rytm jej głosu. Śpiewała też melodie cygańskie i rosyjskie, wzruszające bezgraniczną i przejmującą tęsknotą.

Nic nie mogło być bliższe tego wieczoru, chorej duszy Rudolfa. Głęboki, nieukojonny ból rozrywał mu serce. Jak mógł żyć jeszcze po tej scenie z Giannim? Oplakiwał szczęście dojrzone i utracone zanim zdolał je zaznać... A jednak głos Marynki przynosił największe ukojenie — zapomnienie.

— Narkotyk przywieziony z serca Indji — pomyślał.

Nie mógł znieść, gdy milkła na chwilę. Ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. Siedzieli tak, dosyć długo, bez słowa. Wtem Marynka nachyliła się, dotknęła wargami czoła arcyksięcia i odezwała się po rosyjsku:

— Biednyj.

— Co to znaczy? — zapytał Rudolf.

Nie odpowiedziała. Nikt nie rozumiał tego słowa.

— To po rosyjsku — rzekł Hoyos. — Nie znam w tym języku żadnego słowa prócz „niczewo“, i też nie wiem, co właściwie oznacza.

* * *

Była tu kobieta.

Tego dnia, około dziewiątej zrana, Loschka porządkującego w salonie sąsiadującym z sypialnią następcy tronu, spotkała niespodzianka.

Otworzyły się drzwi i ujrzał w nich cesarzową. Była sama, czarno ubrana, w ręce trzymała wachlarz. Nigdy nie zjawiała się u syna. Pozatem, nikt jej nie towarzyszył — rzecz zdumiewająca. To, że przeszła przez wszystkie salony, dzielące jej apartamenty od apartamentów syna, sama bez nikogo z służby, z dam dworu, mogło zdziwić nielada starego sługę, który był już w Hofburgu trzydzieści lat z okładem.

Mimo lat pięćdziesięciu poruszała się żywo i lekko. Podeszła do Loschka, łamiącego się w ukłonach i zapytała.

— Niema tu mojego syna?

— Jego Cesarska Wysokość przyjmuje w salonie — odrzekł Loschek. — Jest kilka osób na audjencji. Jeżeli Jej Cesarska Mość rozkaże, pójdę uprzedzić arcyksięcia.

— Nie, — odrzekła cesarzowa — nie chcę mu przeszkadzać. To, do ciebie przyszedłem w odwiedziny, mój Loschku.

Stary sługa spojrział na nią zdumiony. Odpowiedź cesarzowej nie mieściła mu się w głowie.

Cesarzowa ciągnęła:

— Jak się czuje, powiedz mi mój Loschku? Byłeś z nim zawsze razem. Znasz go również dobrze, jak ja. Od jakiegoś czasu wygląda nieszczególnie. Może przechodził grypę? Nie jest przepracowany?

— To ostatnie Wasza Cesarska Mość — odparł Loschek — i nic więcej. Arcyksiężę jest przepracowany i znużony... oto wszystko. Nie należy doszukiwać się innych przyczyn. Żle sypia: sen ma zmacony. Gdy wchodzę rano do jego pokoju, przyglądam mu się bacznie. Czasem jęczy przez sen... Żal, patrzeć na niego... I żal mi budzić go... Lecz taki jego rozkaz! Nie

wybaczyłby mi niepunktualności. Wprawdzie kładzie się za późno... Ale tego wymaga jego życie.

Umilkł.

Cesarzowa słuchała długiej tyrady wiernego sługi, z twarzą ukrytą za wachlarzem, nie ruszając się z miejsca.

— Będzie bardzo wzruszony, gdy mu powiem, że Jej Cesarska Mość, fatygowała się specjalnie, by dowiedzieć się o jego zdrowie... — dodał Loschek.

Cesarzowa przerwała tok słów starego sługi:

— Nic mu nie powiesz, mój Loschku. Zabraniam ci! Przyjdę tu znowu w tych dniach.

Uczyli kilka kroków, i jęła rozglądać się po pokoju. Wzrok cesarzowej zatrzymał się na biurku. Pośrodku stołu, za kałamarzem wykrzywiała się trupia czaszka. Cesarzowa wzruszyła ramionami. Uczyniła krok naprzód, przyglądając się czaszce z większą uwagą, następnie powoli, jakby z żalem, odwróciła głowę. Obok przyborów do pisania, leżał rewolwer.

Wskazała go Loschkowi i rzekła:

— Zostawiasz to tutaj! Co za nieostrożność... Schowaj rewolwer.

W Praterze.

Tego roku, druga połowa października, była w Wiedniu, wyjątkowo piękna. W alejach Prateru, pod żółtawymi liśćmi drzew jesiennych, spotykało się całe wytworne towarzystwo wiedeńskie, ażeby zakosztować ostatnich dni pogodnych, kończącego się sezonu. Ludzie ze świata arystokratycznego, finansjery, aktorki cieszące się powodzeniem, wszystko to udawało się do Prateru.

Można też było zauważyć elegancką wiktoryję, a w niej młodą szczupłą kobietę, o typie cyganki, dzikim wyrazie oczu, które nie wodziły za nikim. Mało osób znało ją. Jedynie wtajemniczeni, szeptali sobie na ucho, że przybyła z Rosji, zwała się Marynka i podobiała się bardzo następcy tronu.

Niemal codziennie po południu, pojazd baronowej Vetsery przejeżdżał przez główne aleje Prateru.

Lecz ten dla którego, zjawiała się Marja, nie pokazywał się tam wcale. Polował, lub też bawił w Pradze, Budapeszcie, Gracu, może nawet w Wiedniu, lecz nie w Praterze. Od dwóch tygodni nie bywał w teatrach cesarskich, gdzie Marja uczęszczała na wszystkie widowiska, gdy arcyksiążę mieszkał w Hofburgu. Widziała go tylko raz, jeden jedyny raz od owej pamiętnej rozmowy z hrabiną Larisch. W tej chwili, tak wielka radość wezbrała w niej, że wydawało się, iż wypełni całe życie Marji. Niestety tydzień minął od tej pory; baronówna Vetsera nie widziała swojego bohatera i znowu popadła w czarną rozpacz. Na cóż było mieszkać w najweselszym, najmilszym, najbardziej rozśmianym domu w Wiedniu, gdy czuło się tak nieszczęśliwą?

Nic nie było w stanie wzruszyć, lub rozerwać. Nadśłuchiwać zaczynała wtedy tylko, gdy wymawiano imię następcy tronu. Zauważyła, że często zniżano głos mówiąc o Rudolffie i czyniono to wtedy, kiedy była w salonie. Początkowo, niepokoiło ją to. Czy ktoś z otoczenia podejrzewał ją o uczucia, jakie żywiła dla arcyksięcia? Nie, to było wykluczone. Hrabina Larisch Wallersee była tak pewną i oddaną przyjaciółką, że niepodobna wątpić w jej dyskrecję. Należało szukać innej przyczyny, dla wyjaśnienia tej tajemnicy. Cóż takiego mogło obecnie zachodzić w życiu Rudolffa, że trzeba to było ukrywać, aż z taką starannością. Niestety, hrabina Larisch odjechała do swoich dóbr i Marja nie śmiała zadawać jej pytań w tej kwestji. Gdyby pani Vetsera spostrzegła list,

adresowany charakterem pisma swojej przyjaciółki, to nie omieszkałaby go otworzyć.

Wszystko więc było troską i niepokojem dla biednej Marji. Kochała, i kochała beznadziejnie. A jednak, nie mogła i nie chciała oderwać się od swojej miłości.

W tym dniu udała się do Prateru, z pewną nadzieją. Następcą tronu bawił od dwóch dni w Wiedniu, i nie dosiadł w ciągu tego czasu, konia. Nie spotkali się prawie od trzech tygodni. Nie miał więc już ochoty widzieć się z nią? Na to pytanie Marja uśmiechała się melancholijnie. Czyż mogła wyobrazić sobie, że ten piękny królewicz, którego uwielbiało tyle kobiet, przypominał ją sobie jeszcze?

Słońce chyliło się ku zachodowi. Pojazd baronowej Vetsery po godzinnej przejażdżce miał zawrócić do domu. Rudolf nie zjawi się. Marja czuła się zupełnie zmrożona. Matka, widząc jej pobladłe policzki, zapytała czy nie jest jej zimno. Marja, chcąc przedłużyć nieco przechadzkę, odrzekła że jest chłodno, i że pragnęłaby przejść się. Pani Vetsera przystała chętnie na tę propozycję, lecz sama pozostała w powozie. Nie lubiła chodzić.

Marja i Hanna weszły na ścieżkę, idącą równoległe z aleją.

Gdy znalazły się w miejscu, gdzie ścieżka odchyłała się bardziej w bok, ujrzały nagle przed sobą jeźdźca na koniu — oficera który, nachylał się w rozmowie z jakąś panią. Twarz tej pani rysowała się niewyraźnie. Oficer był odwrócony od nich. A jednak, w miarę zbliżania się, serce Marji poczęło bić niespokojnie.

Zrównawszy się z jeźdźcem, były zmuszone uczynić kilka kroków, ażeby wyminąć go. W tej chwili oficer wprostował się i Marja poznała Rudolffa. Można sobie wyobrazić jej zmieszanie. Najpierw spuściła oczy, lecz prawie natychmiast uniosła wzrok. Rudolf spoglądał na nią; znajdował się o kilka kroków od niej, nigdy nie stała tak blisko niego, jak w tym momencie. Tem samym okamgnieniem objęła kobietę, z którą rozmawiał. Była to ta dość dziwna osoba, spotykana w alejach Prateru, i jeżdżąca wiktoryją.

Marję ogarnęły jakieś dziwne nie dające się wytłumaczyć uczucia. Pragnąc przedewszystkiem nie okazać się niedyskretną, odwróciła głowę. Skąd zaczerpnęła siły, by iść dalej ścieżką i odpowiadać na pytania siostry, której ciekawość była bardzo rozbudzona tem zadziwiającem spotkaniem?

Zaledwie uczyniły pięćdziesiąt kroków, gdy usłyszały tętent konia. Wyminął je następca tronu, nieco zwrócony w ich stronę. Marji zdawało się, że spostrzegła jak, w sposób najbardziej dyskretny, chylił przed nią głowę.

V.

LIST.

W kilka dni po tem spotkaniu, Rudolf wrócił do Hofburgu późną nocą. Zamiast położyć się, zapalił papierosa, wyciągnął w fotelu i oddał się gorzkim rozmyślaniom. Narkotyki, które nadeszły z głębi Indji, straciły swoją moc... Trzeba było znaleźć coś nowego. Do kogo zwrócić się?... Czy był jeszcze balsam w Judei?... Pod światłem lampy gładka powierzchnia trupiej czaszki, błyszcząca i pociągająca wzrok. Myśli następcy tronu jęły błąkać się dokoła śmierci, i grać z nią, uciekać od niej i znowu wracać. Oddawna już, nie budziła w nim żadnego uczucia trwogi.

(D. c. n.).